

— Panie sędzio — rzekł Bernardet z uszanowaniem — przede wszystkim muszę pana przeprosić, iż jestem zmuszony dać panu pewną radę, a następnie wystąpić z prośbą. Znam dobrze różnice, jakie nas dzielą, ale jestem również ciekawy, jak pan sędzia i żaden wiedzy, chociaż do żadnej instytucji naukowej nigdy nie należałem...

— No, no Bernardet... mów dalej...

— Pan będzie kiedyś sławnym człowiekiem, panie Ginory...

— Bernardet, przestań, bo się pogniewam na ciebie.

— Zupełnie niepotrzebnie, panie sędzio. Wiem, co mówię. Czytałem nadzwyczajne prace pana. Stoi pan na najwyższym szczeblu mądrości, bo łączy pan wielką wiedzę z zamiłowaniem sprawiedliwości i sądownictwa. Ja zaś, chociaż stoję o wiele niżej od pana, i chociaż jestem po największej części tylko wykonawcą cudzych rozkazów, interesuję się gorąco tem, co pana zajmuje.

— Wiem, Bernardet, że jesteś najlepszym z naszych agentów. Pan Leriche często wspomina o tobie.

— Tak. Pan Leriche jest bardzo dobrym dla mnie. Ale to, co mówię, nie jest w tym celu, aby wywołać uznanie pana, panie sędzio, ale, aby wzbudzić jego zaufanie do mnie, bo to, co mam panu powiedzieć, jest tak dziwne... tak dziwne...

— Bernardet, zrozum, że mnie nic zadziwić już nie może.

— Gdybym to powiedział jakiemu lekarzowi — ciągnął dalej agent — zaręczam panu, że kazałby mnie zamknąć w domu zdrowia. Otóż, panie sędzio, czy przypomina pan sobie, że kilka lat temu dzienniki amerykańskie zajmowały się gorąco odkryciem, uczynionem przez jakiegoś badacza fotografa? Twierdził on, że dzięki pewnym skomplikowanym zdjęciom fotograficznym odnajdywał w żrenicy zamordowanego człowieka, dokładny obraz jego mordercy.

— Tak, przypominam sobie, ale ja w to nigdy nie wierzyłem.

— Oh! Panie Ginory! — zawołał Bernardet — ale ja wierzyłem i starałem się rzecz tę zbadać dokładnie. Przecież doszliśmy do tylu cudownych wynalazków! Amerykanie to dzielni ludzie i idą szybko z postępem czasu. Doszliśmy już do tego, że aparat fotograficzny wielkie oddał usługi przy seansach spirytystycznych, dlaczego i to było niemożliwe? Pan się śmieje ze mnie, panie Ginory — nieprawda?

— Przeciwnie, mój Bernardet — słucham cię z całą uwagą. Może masz słuszość. Postęp w ostatnich czasach, z rzeczy poprostu nadzwyczajnych i tajemniczych uczynił coś, co każdy przyswoić sobie może. Przyznam ci się tylko, że nie uwierzyłem w to odkrycie, o którym wspominasz; może dla tej przyczyny, że się niem nie zajmowałem.

— Widziałem podobne zdjęcia, panie sędzio! Uczynione były na kobiecie zamordowanej w tajemniczy i nieodgadnięty sposób. Obraz był mglisty i bardzo niewyraźny, ale czyż niema zwierciadeł niezbyt jasnych, które jednak odbijają postać przed niemi się znajdującą? Panie sędzio! To — co dziś wydaje nam się być szaleństwem — jako udoskonalone, może być prawdą rzeczywiście!

— Czytałem jednak o wielu nieudanych próbach — wyrzekł pan Ginory! — Lekarze i wielu ludzi poważnych wyśmiewali to odkrycie!

— Ludzie się śmieją zazwyczaj z tego, czego pojąć nie mogą — odparł, przejęty swoją sprawą agent... A jednakże, panie sędzio... gdyby to było prawdą!

— Więc i ty, Bernardet, nie jesteś całkiem tego pewny? — zapytał sędzia, patrząc z zaciekawieniem na agenta.

— Nie, pan się myli, panie Ginory! Ja jestem pewnym! I, wie pan, co? Zdaje mi się, że pomimo zaprzeczeń lekarzy i innych, pan jednak ma pewne wątpliwości co do prawdy ich dowodzeń. Czy się mylę? Czytam to w oczach pana!

— Widzę, Bernardet — zaśmiał się sędzia — że żrenicy ludzkiej przyznajesz moc niezwykłą i stajesz się odgadywaczem myśli.

— Nie, panie sędzio! Ale wierzę w rozum i inteligencję pana i wiem, że podobne rzeczy nie mogą dla pana być obojętne. Przed chwilą, kiedy patrzałem w te straszne, wymowne oczy zamordowanego, pomyślałem, że w nich jest zawarta tajemnica, której my długo szukać możemy bez skutku. Czy widział pan te oczy, panie Ginory? One mówią, one oskarżają same!... Te oczy widzą!... Widzą coś, co jest dla nas niedostrzegalne jeszcze. I niech się pan śmieje ze mnie, panie sędzio, ale wierzę i przysięgnę na to, że zachowały na soczewce ostatniego człowieka, widzianego za życia, a tym człowiekiem jest morderca!

— Bernardet! Bernardet! Jesteś szalonym człowiekiem!

— To może być! Oglądaliśmy wszyscy zwłoki zamordowanego, nieprawdaż, panie Ginory — widzieliśmy okropną ranę zadaną w szyję, skonstatowaliśmy śmierć! Ale nikt nie dojrzał tego, co mieściło się w zamartych oczach pana Rovere! Należy te oczy zapytać o ich tajemnicę — wywołać z nich obraz, w nich zawarty, a cała sprawa rozwiązana zostanie.

— Jesteś strasznie uparty, Bernardet!

— O tak, panie sędzio, uparty i cierpliwy. Uczyniłem już zdjęcia z twarzy zmarłego, a teraz, za przyzwoleniem pana, chcę podjąć zdjęcie z soczewki. One nam odkryją tajemnicę śmierci pana Rovere! A zresztą, gdybym nawet uległ pomyłce. Czy istnieje jakiś ważny powód do zaniechania tej próby? Zwłoki mają być odesłane do prosektoryum — nieprawdaż — tam będą krajane, badane, poniewierane!... Czy moja próba będzie bardziej uwłaczająca im? Ah! panie sędzio! Gdybym ja miał tę wolność działania, jaką pan posiada!

Pan Ginory podniósł na agenta spojrzenie życzliwe i pełne uznania. Słowa jego poruszyły go żywo. Kto wie? Ten człowiek prosty i zamiłowany w swoim zawodzie miał może słuszość!

— Uspokój się, Bernardet! — rzekł poważnie. Pomówimy jeszcze o tem.

Słowa te były już prawie zezwoleniem.

— Skończmy przedtem jednak śledztwo, tu rozpoczęte. — dodał po chwili sędzia — Wiesz, że czekają na mnie tam obok.

Kiedy Ginory i agent powrócili do salonu, prokurator właśnie pytał się o sędziego i dziwił się jego długiej nieobecności. Śledztwo było już na ukończeniu i prokurator przystąpił do pana Ginory, mówiąc mu o spostrzeżeniach osobistych, poczynionych przy oględzinach zwłok. Twierdził, że morderca musiał należeć do tak zwanych „fachowych“. Rana zadana była z niezwykłą zręcznością i pewnością siebie.

— Nie zdziwiłbym się — dodał — gdyby morderca był rzeźnikiem. Uderzenie jest śmiało i zadane z pewną rutyną.

— Możliwe — odpowiedział pan Ginory — ale w tych rzeczach nigdy na pewno twierdzić nie można.

Poruszony jeszcze rozmową z agentem, pan Ginory stanął naprzeciw zwłok i badawczo wpatrzył się w twarz zmarłego. Bernardet miał słuszość, oczy te ożywione były wyrazem strasznej jakiejś groźby i jakby błagały o wymiar sprawiedliwości.

Ale komuż one groziły mogły z taką siłą i uporem? A jeżeli rzeczywiście, tak, jak przypuszczał Bernardet, zachowały one obraz mordercy? Jeżeli ten obraz dokładny i oskarżający rysował się w żrenicy rozszerzonej bólem i rozpaczą? Przecież ten zmarły z tem wymownem, przenikającym spojrzeniem był świadkiem najwiarygodniejszym w własnej sprawie! Mógł potępić, oskarżyć i wskazać najdokładniej swojego mordercę.

Pan Ginory przesunął ręką po czole, chcąc odpędzić dziwne myśli, kotłujące mu pod czaszką. — Twarz jego wyrażała silne zainteresowanie i napięcie. Przypatrując mu się z boku Bernardet uśmiechnął się z zadowoleniem. Słowa jego przyniosły pożądany skutek. — Po chwili usłyszał, jak sędzia mruknął do siebie przez zęby:

— Ależ to szaleństwo! Istne szaleństwo! Ale przecież pomyśleć nad tem muszę!

Nadzieja wstąpiła w duszę agenta. Wiedział już teraz, że pan Ginory zajmie się jego próbą.

— Zdaje mi się, żeśmy wypełnili wszystko, co do nas należało — rzekł, podchodząc, prokurator — Nie mamy tu już nic więcej do roboty.

— Oczywiście — przytaknął machinalnie pan Ginory, budząc się z zamyślenia.

Postanowiono, że zwłoki bez straty czasu odesłane zostaną do Morgi. Pani Moniche, która ani na chwilę nie opuściła salonu, zaczęła na nowo biadać i złorzeczyć temu „niegodnemu“ prawu.

Ale nikt nie zwracał uwagi na jej słowa.

Jeden z agentów pobiegł po powóz, mający przewieźć ciało pana Rovere i wkrótce przed domem, gdzie dokonano zbrodni, pozostało tylko dwóch stróżów bezpieczeństwa, mających za zadanie śledzić wchodzących i wychodzących z domu.

— Czy otrzymam pozwolenie od pana sędziego? — szepnął uparty Bernardet w chwili, gdy tenże zabierał się już do odejścia.

— Bądź z aparatem w Mordze — brzmiała krótka odpowiedź.

Pan Ginory nie bez przyczyny ulegał tak łatwo prośbie agenta. Działalność jego i poświęcenie dobrze mu były znane. On to przecież przepędził całą noc zimową, skulony na ławce, udając pijaka, aby na-  
zajutrz nad rankiem przychwycić i dostawić do are-

szków policyjnych zbrodniarza, uzbrojonego od stóp do głowy. Ten sam Bernardet, raz znowu, pokonał człowieka, który był postrachem wielu dzielnic Paryża, przezwanego „Bawołem“, człowieka o kolosalnej postawie i sile. Nie posiadając żadnej broni przy sobie, spotkawszy go raz w nocy w winiarni odludnej, przytknął mu szyjkę butelki do skroni, mówiąc: Poddaj się, bo ci głowę roztrzaskam w tej chwili. I tamten, zaskoczony pewnością siebie agenta i jego odwagą, dał mu się zaprowadzić, dokąd chciał.

I wiele podobnych wypadków złożyło się, aby wyrobić Bernardetowi opinię dzielnego i obowiązkowego agenta.

Bernardet po odejściu władz policyjnych z domu przy bulwarze Clichy, zamierzał powrócić do siebie. Zal mu było żony i córek, którym mimowoli zakłócił dzień, poświęcony zabawie i odpoczynkowi.

Ujrawszy go, wszystkie podbiegły do niego z oznakami wielkiej radości.

— Ojciec, ojciec powrócił! — wołały dziewczęta, skacząc wokoło niego.

Ale pani Bernardet, spojrzawszy na zamyśloną twarz męża, zrozumiała, że ten dzień znowu był dla nich stracony.

— Mam wiele do roboty — rzekł agent, zasiadając do zastawionego stołu — Pójdę zaraz do swego pokoju i będę pracować.

— Pracować? Dzisiaj? W dzień twoich imienin? — oburzyła się pani Bernardet — Dziś właśnie powinienes odpocząć.

— Odpocznę po obiedzie. Do tego czasu nie przeszkadzajcie mi, moje kochane.

— Więc mam ci przygotować lampę? — zapytała żona, zrezygnowana już.

— Tak, moja kochana, przygotuj lampę.

Nikt z domowników nie wchodził nigdy do pracowni Bernardeta. Kiedy zamykał się w niej, córki jego mówiły zasmucone:

— Nie istniejemy już dziś dla ojca. Poszedł „pracować nad zbrodnią“.

Dnia tego dłużej, niż zazwyczaj, przebywał w swoim osamotnieniu. Pani Bernardet kilkakrotnie podchodziła do drzwi z zapytaniem, czy już obiad podać można. Otrzymywała niezmienną odpowiedź:

— Jeszcze nie. Za chwilę wolnym będę.

Bo też Bernardet pracował zawzięcie tego wieczora. Powyciągał z biurka niezliczoną moc papierów, broszur, raportów medycznych i zagłębiał się w nich, zapominając o całym świecie.

Wszystkie te papiery traktowały o zbrodniach niegdyś popełnionych, którymi zajęli się znani profesorowie medycyny, przystosowując do nich próby zdjęć fotograficznych z żrenicy zamordowanych.

Wiele z nich nie odniosło żadnego rezultatu. — Czytając te akta Bernardet brwi zmarszczył i na twarzy jego osiadał wyraz zwątpienia.

— „Żrenice psa uduszonego“ — brzmiało pewne sprawozdanie doktora Vernois — „W chwili agonii zwierzęcia trzymanego przed jego oczami zegarek złoty. — Próby fotograficzne nie wykazały nic zgoła“...

— „Żrenice kota zatrutego“. Postawiono zwierzę w ostatniej chwili przed sztucznie wytworzonym szcurem. — Bez rezultatu.

I wiele jeszcze było podobnych przykładów bezowocnych zupełnie.

Bernardet odrzucał z niechęcią papiery i podejmował drugie.

— „Próby, dokonane na ludziach zamordowanych“ — sprawozdanie tegoż doktora Vernois — Morderstwo dokonane na młodej kobiecie i jej dziecku. Poczyniono zdjęcia w dwie godziny po śmierci. Żrenice dziecka nie wykazały nic zupełnie, natomiast w żrenicach matki odnaleziono odbicie psa i niejawną sylwetkę człowieka. Dochodzenia dowiodły, że w chwili popełnienia morderstwa duży pies znajdował się w pokoju i przybiegł na ratunek.

— To są próby z lat ubiegłych — myślał Bernardet — Ale system fotograficzny obecnie uległ wielu udoskonaleniom i przeobrażeniom. Z dniem każdym postępujemy naprzód.

I napowrót zabierał się do przeglądania papierów, odrzucając niektóre, nad innymi zastanawiając się głębiej.

— Dlaczego uczeni nie zajęli się głębszym zbadaniem tej ciekawej sprawy? — myślał Bernardet — To wszystko, to pobieżna robota. A jednak czuję, że jest tu coś do zrobienia, coś do pogłębienia i wykrycia.

Bernardet pod wpływem budzących się myśli, gorączkował się coraz silniej. Silne wypieki wybiegły na twarz jego zazwyczaj pogodną i dobroduszną. Jakieś silne, niezwalczone przekonanie wstępowało w niego, budząc energię i otuchę do czynu.

(Ciąg dalszy nastąpi)